Lwów. I. Grudnia №143. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

KRÓL DZIADÓW.

V.

Bal w miasteczku.

(Ciąg dalszy).

Jakkolwiek bądź takie współzawodnictwo jest nudne, ztąd więc pochodziły nieskończone plotki, które na drodze z apteki do zamku biegały bez końca, noszone zawsze tam i nazad przez usłużnych przyjaciół i równie czułe przyjaciółki. Niemało się do tego przykładała nierówność ich położenia społecznego. Klimunia była majętniejsza i po mężu mieszczanką, gdy tymczasem Piotrunia była obywatelską córką po ojcu i matce, a nawet i Fiułkiewicz posiadał tam jakiś herb i jakiegoś wujaszka, posiadającego gdzieś tam wioszczyznę jakąś. Naturalnie Klimunia drwiła niby z szlachectwa i wszystkich jego przywilejów, ale tylko półgębkiem, bo była to dla niej rana niewygojona. I musiała się patrzyć nieraz, jak na zabawie dawano jej prym; albo co się działo w jej sercu, gdy Piotrunia dla większego zapewne uszanowania, przyjeżdżała do niej powozem z lokajem, który miał guziki herbowe. Mściła się na mężu w takim razie srogiemi wymówkami, ale to nic nie pomagało. Dandysy małomiejskie, najgrzeczniejsi i najczulsi na dole w aptece dla pięknej Klimuni, opuszczali ją na górze by się przypodobać Piotruni.

Wejdźmyż teraz na chwilę do apteki; jest to godzina jedenasta zrana: hora canonica ją nazywał pan Szumski który z swojego obowiązku coś tam rozumiał po łacinie. Odkąd Niżyńce Niżyńcami taki to już był zwyczaj z dawna zaprowadzony, że około jedenastej znajomi schodzili się do apteki na jakąś mieszaną wódkę, lekarstwem woniejącą, ale pełną dobrych żołądkowych własności. A przytem tam udzielano sobie nawzajem nowinek politycznych i brukowych. Do brukowych był doktor Februar, a co do politycznych pan poczmistrz Pilnauer musiał je najlepiej widzieć siedząc na poczcie.

Nie potrzebujemy powiadać, że dziś właśnie był zupełny komplet, ko każdy chciał się dowiedzieć o dzisiejszym balu, o którym rozpowiadano, a jeszcze się większych nowin spodziewano. Krzyk i gwar ogromny był w aptece, bo wszyscy byli weseli, i kieliszek kilkakroć się już powtórzył.

— Załóżmy się o nową turę wódki! krzyczał pan doktor Februar. Był on pochodzenia starozakonnego; ale że dowcipny i lubiący każdemu schlebiać, więc powszechnie był lubiony. Zawsze miał coś wesołego do powiedzenia, a jak nic nie miał to skłamał.

— Założcie się! krzyczeli obaj aptekarze, lubiący powtarzanie kieliszkowych turów.

— Ja się nie założę, odpowiedział poważnie nagabany pocztmistrz, ale wiem z pewnością że będzie.

— Nie będzie! ja panom powiadam. A kiedy pan poczmistrz wie pewnie, dla czego się nie chce założyć.

— Ja się nigdy nie zakładam.

— A pfe! przemówili aptekarze, a i drudzy przytomni zawtórowali.

— Pfe! powtórzył śmiejąc się pan Februar.

— Czy pfe! czy nie pfe! ja się nie będę zakładał, nie głupim!

Nic nie pomógł śmiech i namawianie wszystkich, poczmistrz uparł się. A szło tu wszystkim o podwójną wygranę, bo i o wódkę i o to, by skąpego pocztmistrza do zapłacenia namówić. Do tego cała kłótnia była wymierzona przez doktora, który z poczmistrzem w wiecznej żył wojnie. Jakoż nic przeciwniejszege widzieć nie można było, jak ich całe usposobienie i całe ułożenie. Doktor był niewielkiego wzrostu, ale nadzwyczaj ruchawy, zawsze wesoły, zawsze do śmiechu gotowy, na żart łapczywy. Pan Pilnauer przeciwnie, wysoki, chudy, sztywny i zawsze wyprężony, bawił się w ogromnego senzata. Rzadko kiedy się zaśmiał, i wszystko na świecie widział w czarnym kolorze, to też jednego przezwali Beksą, drugiego Wesołowskim.

— Niema zakładu; przemówił gospodarz, ale napijmy się wódki.

— Dla czego się wy sprzeczacie moi panowie! przemówił pan rewizor, młody i wcale przystojny męczczyzna; najlepiej powinien przecie wiedzieć pan Fiułkiewicz, czy stary hrabia będzie na balu czy nie?...

— Ja właściwie! nie mieszam się w to... i nareszcie, ja wolę by był zakład.

— Brawo!... i dla tego napijmy się...

— Będzie! ale tylko młody hrabia! mówił znowu lekarz; gdzież by stary chciał między nas wleść?..

— Głupia fuma! ozwał się kolektant, trochę krzywy, trochę kulawy, z okularami na czole, brodawką na nosie, zawzięty nieprzyjaciel panów i szlachty, jako syn i wnuk diaka.

— Co nam do tego! zagadł pan sędzia, który właśnie nadszedł. Zabawimy się i bez niego.

— Lepiej żeby i młody nie przyjeżdżał, ozwał się młodziutki praktykant przy magistracie, który także chorował na demokratę i eleganta. W obu tych postaciach nie chętnie chciał się zdybać z paniczem, przy którym znikną wszystkie jego zalety.

— Kapitalny i nie głupi chłopak! zawołał doktor. I nic nie podobny do ojca! dodał z uśmiechem.

— Jakto? zawołało kilku, którzy się czegoś domyślali pod tym uśmiechem. Olbrzymia domyślność jest zwykłą zaletą małomieszczanów którzy w tym podobni do wielkich filozofów, domyślają się niestworzonych rzeczy, a stworzonych w własnym nie widzą domu.

— Może do matki?... zawołało kilku innych ciekawych, którzyby chcieli pytaniami jak trybuszonem dobyć prawdy.

— I do matki nie! odrzekł pan Februar z takim samym uśmiechem.

— Jakto? wołali wszyscy otaczając doktora.

Lecz w tej chwili ozwały się głosy stojących przy oknie, między któremi był brat samej aptekarzowej i dwóch czy trzech praktykantów cyrkularnych, których przywieziono z miasta na tancerzów.

— Otóż oni!...

— Oni! kto taki?... krzyknęli drudzy i pobiegli do okna.

Z nadprzeciwka bramy klasztornej, posuwali się poważnym krokiem burmistrz i pan Krajkowski w własnej osobie z dwoma synami Adamem i Saturninem. Była chwila strachu, czy nie pominą apteki, lecz nagle zwrócili się ku niej, i weszli z niemałą radością obecnych, którzy jak wiemy nie wiedzieli dotąd głównego powodu dzisiejszej zabawy, a przytem radziby wiedzieć szczegółowo, kto na niej z obcych będzie. Przywitano tedy nowo przybyłych z ogromnym krzykiem.

Burmistrz była to w małem miasteczku najmniejsza, najsuchsza i najniewinniejsza istota. Rzadko też o nim mówiono w potocznej mowie, ale tem częściej o samej pani burmistrzowej, która nie tylko w domu ale i w całych Niżyńcach burmistrzowała. Biada każdemu który nie przeszedł pierwej przez kuchnią i spiżarnię pani burmistrzowej.

Krajkowski był za to najotylszym w Niżyńcach człowiekiem i niezawodnie najlepszym. To też kto w boga wierzył, korzystał z jego poczciwości. Nikomu nigdy nic nie odmówił. I serce i kieszeń, stół i spiżarnię, gumno i las, miał na usługi znajomych swoich z miasteczka, którzy też go obdzierali jak groch przy drodze stojący, w oczy pod niebiosa wynosili, a po za oczy szeptali do siebie ruszając ramionami.

— Bankrut! bankrut oczewisty.

On tymczasem na to nie zważając, lubił żyć, nie wystawnie, ale hojnie i gościnnie. To też mało który dzień był tak szczęśliwy, by stół we dworze obszedł się bez kilku obcych gości. Cała jego twarz malowała człowieka; zawsze uśmiechnięty, przymrugał rubasznie oczami i przemawiał nieco akcentem Mazurów, bo z tamtąd był rodem.

Synowie byli to także dobre chłopcy. Wychowani w szkole ojca, stali się pierwszemi próżniakami w mieście, gotowemi do każdej hulanki, do każdej gry, w karty czy w butelki, czy nawet w serca, bo byli oba dorodni, podobni do siebie, a w rysach twarzy, postawie i ruchach przypominali prawdziwych mazurskich parobczaków.

Ciekawe zgromadzenie, po pierwszych przywitaniach i po powtórzeniu koniecznej kolejki, zabrało się do nowo przybyłych, mianowicie do Krajkowskiego, z pytaniami, któreby mogły zawstydzić najdowcipniejszą indagacją.

— Co? jak? i dla czego występywało w coraz nowszych postaciach.

Lecz tym razem indagacja się nie powiodła. Krajkowski który miał serce na dłoni a myśl na języku, tym razem był zakopertowany jakby list z pieniędzmi, które są jak wiemy największą tajemnicą na świecie.

Zbywał wszystkie odpowiedzi rubusznym uśmiechem, i tylko w końcu poszedłszy za ladę do aptekarza, przemówił coś do niego po cichu. Musiało to coś być bardzo ciekawego, bo jak to wszyscy zauważali, ogromne uszy pana aptekarza aż zadrzały, i pobladł mu nawet nos zwykle burakowy. Skończywszy przyłożył pan Krajkowski palec do ust, i obróciwszy się do gości, wyrzekł z właściwą sobie uprzejmością.

— Wszakże i tak się dowiecie. A może też dla tego prędzej do mnie przyjdziecie. Im prędzej, tem lepiej; przed obiadem możem się zdybać z kiełbasą, a i stoliki do wiska będą gotowe.

I wyszedł z synami i burmistrzem, który pod nadzwyczaj uroczystą miną starał się ukryć strach jaki go zbierał na myśl, że się przyjdzie tłumaczyć przed burmistrzową z czasu, przy śniadaniu straconego.

Po ich odejściu wszyscy obcesem się rzucili na aptekarza, lecz nadaremnie. Beczyński nie chcąc zdradzić pana komisarza, którego bardzo potrzebował, milczał uporczywie, rzucił tylko wzrok pełen wymownych wymówek na kolegę aptekarza, który przecież dawniej wiedzieć musiał o tajemnicy, i nic mu nie powiedział.

Rozeszli się tedy wszyscy, biegnąc co prędzej do domu, aby się ubrać i gonić na górę, zkąd nęciła ich i

kiełbasa, i wiseczek, i tajemnica, i znana nareszcie całym Niżyńcom starka.

Przejdźmy teraz na chwilę na drugą stronę, gdzie mieszkała aptekarzowa. Jej mieszkanie ubrane było z całem komfortem małomieszczańskim. Prócz gitary, tej konieczności małych miasteczek, był i gatunek fortepjanu, była i serwantka z filiżankami i wielkim na samym wierzchu samowarem; była nawet na kanapie wielka poduszka haftowana, na której czekoladowy ułan po zielonym bujał przestworzu; a przed kanapą na okrągłym stoliku bronzowy dzwonek, którego wielkość i głos uzdalniały jeżeli nie do sygnaturki, to przynajmninj na ruskiego kałakolczyka. Moglibyśmy coś jeszcze powiedzieć o woskowych owocach i wełnianych kwiatach na gzymsie kominkowym, ale nie chcemy nudzić czytelników naszych.

Towarzystwo pań Niżynieckich w wielkim było komplecie, wszystkie prawie zgromadzone były Profanki, bo była i pani kassjerowa, i pani kontrolorowa, i pani profesorowa, i kilka assesorowych, i nawet pani rewizorowa o której mówiono, że potrzebuje trzech najmniej godzin do ustrojenia się, i trzech najmniej łokci wstążki na przepaskę. Wszystkie mimo pory spóźnionej były jeszcze w negliżu. Gwar i pisk panował wielki, o czem gadały, trudno powiedzieć bo same się nie rozumiały. Widać tylko było ważność tej sessyi, po przyspieszoych ruchach z jakiemi wszystkie biegały po dosyć sporej izbie, na salon przerobionej. To do okna biegały, jakby coś spostrzedz spodziewały się, albo znowu przykładały ucho i oczy do drzwi, czy kto nie przechodzi przez kurytarz, który obie strony domu dzielił, i przez który szło się do tylnych mieszkań na dziedzińcu. Na wszystkich twarzach malowało się podziwienie, i pomieszanie niejakie....

— Niema jej! niema! woła po raz dziesiąty i jedna i druga.

— I nie była ani ona, ani nikt z góry! dodała gospodyni, tupając małemi nóżkami, czyli raczej korkami, któremi starała się podwyższyć nieco.

— Możeś nie uważała moja droga, przemówiła piękna rewizorowa głosem trąby....

— Ja? nie uważała!.... odrzekła Klimunia stawając na środku... Alboż to ja która z tych pań, co to nie umieją dójść, gdzie ich mężowie chodzą.

— Mniejsza o nich, ozwały się niektóre z lekceważeniem.

Tylko kassjerowa i kontrolorowa spojrzały z pod oka i sumiasto na siebie, bo trzeba wiedzieć, że obie miały swoich mężów i siebie nawzajem w posądzeniu, i jak twierdzono dosyć głośno w Niżyńcach, obie miały słuszność. Dla koniecznej zgody w kassie panowie kasjer i kontrolor patrzyli przez szpary, czyli raczej całkiem nie patrzyli na siebie, choć się nieraz do zamku na jednej zdybywali ścieżce.

— Ale czyż to może być?...

— Ja sama pojąć nie mogę.

— Przecież w starych sukniach nie będą.

— Znamy je wszystkie doskonale.

— W domu nie robią....

— Żadna igłą ruszyć nie umie.

— Może przecie w dawnych wystąpią....

— Ach!... gdyby!... zawołały wszystkie z wyrazem niepodobnym do wyrażenia, i podniosłszy oczy w powały, jak gdyby błagalne chciały wznieść modły.

I każdaby pewnie upadła na kolanka i gorącą antyfonkę zmówiła, gdyby to mogło być prawdą że panie ze dworu nie ustroją się w jakieś nowe, nikomu dotąd nieznane stroje.

O to też szło właśnie, że nikt w tej mierze nic nie wiedział.

— Czy tylko cię może twoja marszandka nie oszukuje, może ona robi coś potajemnie.

— Kto?... panna Lubina Wilus!... a choćby i chciała, przecież mieszka na moim dziedzińcu, i od dwóch tygodni ja wiem każdą i każdego, który wszedł do niej, co przyniósł, a co wyniósł.

Nie wiem dla czego na te słowa uśmiechnęły się zgromadzone profanki.

(C. d. n.)

Rolnik podolski.

Cztery wołki na ugorze
Ciagną pług przez pole,
Dumkę nucąc rolnik orze,
Nie wie jaką rolę.

Gdzie toczyli krew Tatary,
Zboże mu wyrasta,
Wiek z pamięci wypadł stary,
Podolskiego piasta.

Nie wie — kto mu niósł pomoce,
Kto plon i zniszczenie,
A w pamięci li migoce
Dziada pokolenie.

Dziad coś mówił o zaborach
W dalekiej przeszłości;...
Pług zaskrzypiał nagle w z-orach,
Wyrył miecz i kości.

Rolnik stanął śród rozłoga,
W sercu żal się budzi;
Westchnął — pacierz wzniósł do Boga
Za — pomarłych ludzi.

Mieczysław R....

---

*

Magnus.

Naczytaliśmy się nieraz po pismach zagranicznych niezliczone zarzuty, czynione wielkim panom polskim, w czasach dawniejszych, mianowicie co do ich butności, dumy i nadużyć jakich pozwalali sobie naprzeciw podwładnym. Wszystkie te przywary opisywać w barwach najczarniejszych stało się prawdziwą modą u cudzoziemców, którzy nakręcając fakta, lub zupełnie je zmyślając, chcieli koniecznie na cały naród rzucić zarzut barbarzyńskiego stanu społecznego, który rzeczywiście nigdy u nas nie istniał w tak przesadzonym stopniu, w jakim go malowali nieprzyjazni nam pisarze. Były nadużycia, ale gdzież ich nie było? Były one w dawniejszych wiekach wynikłością samego czasu ciemnoty, w którym w całej Europie przeważało prawo mocniejszego.

Na przykłady nam w oczy rzucane, przykłady bardzo skąpe, moglibyśmy odpowiedzieć z ogromną chwałą, przeglądajac tylko znajomsze życiorysy i tradycje o sławnych baronach rozbójniczych, którym zamki warowne służyły za kryjówki łupów zdobytych na publicznym gościńcu. Lecz jak jedne tak i drugie przykłady przed sądem bezstronnym nic nie stanowią naprzeciw narodowemu charakterowi.

Żywo nam stanęły przed oczy te myśli po przeczytaniu kilku ustępów z pamiętników Ochockiego, z których umieściliśmy niektóre pod tytułem: Tulczyn, i Łabuń. Szczęsny Potocki, i Wojewoda Stępkowski, występują tam w swojem życiu domowem, opisani szczerze i bez pochlebstwa. Jako ludzie historyczni są już dawno osądzeni, i pewnie ich bronić nie będziemy, lecz z tych kilku rysów, przez Ochockiego przytoczonych, największa zawziętość nie zdoła wyciągnąć zarzutu naprzeciw ich osobistej prawości w stosunkach społecznych. Ileż to innych rysów z tej samej epoki można by przytoczyć zupełnie przeciwnych w życiu obcych magnatów, chociaż powtarzamy, najgorsze pojedyńcze przykłady o całym narodzie nie świadczą.

I właśnie wpadło nam pod oczy jedno z niemieckich pism: *Gartenlaube*, które dla tych co to zawsze dawne czasy chwalą, opowiada następujący obrazek.

«Około r. 1744 żył i panował w hrabstwie swojem, Karol Magnus, hrabia reński na Grehwiller. Przyszedłszy do władzy i majątku, zaczął żyć jak przystało na magnata, na panującego hrabiego. Stawiał więc pałace, zakładał ogrody, wyprawiał bankiety, i otoczył się liczną zgrają huzarów, hajduków i innej służby. Miał przytem własną kapelę nadworną, a stajnia jego liczyła 120 koni.

Miłe to i przyjemne życie, ale cóż? kiedy dochody wynoszące 60.000 ryńskich nie mogły wystarczyć. Dla tak błahej przyczyny porzucać życie błogosławione niepodobna; z brakiem dostatków wzmagała się namiętność tracenia, która przeszła pomału w namiętność niepowściągniętą pieniędzy. Nic tak nie rozbudza wyobraźni i nie dodaje konceptu, jak każda namiętność, zaczął więc Magnus rozmyślać nad sposobami dostania pieniędzy. Zaczął od tego jak wszyscy podobni jemu zaczynają, że się ożenił, z jakąś księżniczką złą i brzydką, ale bogatą. Był to koncept nie tęgi jak się pokazało; zwyczajnie pierwszy. Księżniczka nie bita w ciemię, własnego majątku z rąk nie wypuszczała, a mężowi pożyczała tylko, zabezpieczając się na jego własnych dobrach. A gdy już nie było na czem się zabezpieczyć, przestała pożyczać.

Cóż miał robić Magnus, któremu zbytek i życie na wszystko rozpasane, drugą stało się naturą, a z wiekiem przybywało konceptów.

Obejrzawszy się w koło udecydował, że najwięcej obowiązku pomagać mu, mają jego poddani, chłopi. Zabrał się też do nich na wszystkie strony, i żaden największy finansista nie dał by sobie lepszej rady.

A więc naprzód raczył wydać rozporządzenie, jako wiedziony ojcowskiem sercem, otwiera dla poddanych hipotekę, aby nie byli przymuszeni wierni jego wazale pożyczać w obcym kraju. Z tego tedy banku hypotecznego, złożonego z funduszów żony jego, przyrzekał pożyczkę komu i wiele kto zechce na mały procent. Było to jakoś po 7letniej wojnie, w hrabstwie była golizna, pożyczka zatem nader była pożądaną. Przybiegali zewsząd do banku, i pożyczali, a o procencie ledwie była mowa. A nawet gdy po roku przyszli niektórzy, aby płacić procenta, zbyto ich ni tem, ni owem, i odprawiono łaskawie. Za dwa lata dopiero wypowiedziano nagle wypożyczone kapitały z dodatkiem 12 procentu co rok. Próżne były tłumaczenia, odwoływania się, i t. d. Kto nie zapłacił został wyrzucony z własnej posiadłości, a majątek jego stawał się własnością Magnusa. Ta dowcipna operacja finansowa, przyniosła mu tylko 100000 przeszło reńskich.

Ale i to poszło, tam gdzie wszystko u marnotrawców idzie, na hulanki i zabawy. Inny by rozpaczał, Magnus nie, bo czuł w sobie nową myśl jenialną.

W hrabstwie Grehwiller jak wszędzie wówczas, morg gruntu różnej był miary, jeden większy drugi mniejszy. Magnus postanowił kraj cały przemierzyć na nowo, i morgi wszystkie porównać. Do tego sam dał miarę w średniem niby przecięciu z istniejących miar wziętą, miarę dosyć umiarkowaną. Gdy się już mierzenie skończyło, okazało się że nie jeden z drobnych właścicieli hrabstwa, co miał pierwej 100 morgów, posiadał teraz wedle nowej miary 120. To jak każdy przyzna wyraźna niesłuszność, by ktoś stał się przez jedną prawie noc o 20 morgów bogatszy; te więc nadwyżki ogłoszono być gruntem wolnym, niemającym właściciela, jakby pustki u nas. A ponieważ brakowało właściciela, cóż słuszniejszego jak żeby tym właścicielem został Magnus.

Ta sztuczka miernicza zwiększyła znacznie jego ziemskie posiadłości, ale gotówki zawsze brakowało, gotówki zaś był największym miłośnikiem.

Magnus uderzył więc w filantropią. Byłto niepospolity człowiek, on widocznie swój wiek uprzedził.

Utworzył kassę ogniową, dbały o to, aby jego poddanych pożary zrujnować nie mogły. Każdy posiadacz domu jakiego w całem hrabstwie musiał się zabespieczać od ognia. A że do dobrego choćby przymuszać godzi się, wkładki assekuracyjne najsurowiej egzekucjami pobierano. Wszystko też szło bardzo pięknie i regularnie, aż do pierwszego pożaru. Pogorzelec nic nie dostał bo nie było pieniędzy w kasie.

Nastała potem loterja do której napędzono mieszkańców hrabstwa wszystkiemi sposobami. Loterja była mniej więcej tak urządzona jak kassa ogniowa. Dla wygrywającego nie było pieniędzy w kassie loteryjnej.

Po loterji przyszedł dom sierot, na którego ufundunowanie nakazane i exekwowane zostały składki po całym kraju. Domu wprawdzie nie było jeszcze, ale dyrektor domu sierot jeździł razy kilka w roku po całym kraju i zbierał żywność *in natura* dla biednych sierot. A gdy składki zaczęły się zmniejszać, na utrzymanie domu, sierot Magnus ustanowił nowy podatek od kominów. Filantropiczne te instytucje zasyciły na czas jakiś głodną zawsze Magnusa kassę. Lecz ta jako prawdziwa suchotnica pożerała bez końca, i nigdy nasyconą być nie mogła.

Żądza pieniędzy rosła w Magnusie. Operacje finansowe w własnym kraju już udać się nie mogły, trzeba było udawać się do zagranicznych kapitalistów. I z temi Magnus dał sobie radę. Żył pod ten czas koło Frankfurtu nad Menem, hrabia Solms, pan bogaty ale ogromnie skąpy. Trudności zaostrzały tylko dowcip Magnusa. Zrobił mu propozycją aby pożyczył na las, i posłał mu cały wierzytelny opis tego lasu. Hrabia Solms pożyczał rzeczywiście ale na pewną hypotekę. Przywoławszy tedy jednego z wiernych sług swoich, wysłał go, aby oglądnął las.

— Jeżeli taki jest jak go opisuje hrabia Magnus chętnie pożyczę! rzekł do niego.

Wysłany przyjechał na miejsce gdzie miał być las, ale żadnego nie znalazł patyka na golem jak dłoń polu. Zastał natomiast ludzi Magnusa, którzy go zaprosili do swego pana. Nieszczędzono dobrego przyjęcia i dzielnego napitku.

— A gdzie jest ten las? pytał wysłany.

— Las jest tu u nas, u naszego pana; odrzekł mu pokazując cały szereg wypróżnionych, a jeszcze większy pełnych butelek. A większy jeszcze w naszej piwnicy! u twego hrabiego Solms może lepsze są lasy ale pewnie ani lepsza spiżarnia, ani lepsza piwnica, ani też lepsze bo hulaszcze i bez trosk życie. Wiemy bowiem że twój pan sławny skąpiec.

— To prawda! mruknął w pół ścięty, i w pół przekonany.

A im dalej szli w las, tem mu wyraźniej stawał przed oczami las nieistniejący nigdy. W końcu przekonany zupełnie wrócił wierny sługa do swego pana i zaraportował mu.

— Śliczny las! jeszcze siekierą nienaruszony.

I zaprawdę nie kłamał poczciwiec, trzymając się ścisłego słów znaczenia.

Hrabia Solms uradowany, bo lubił korzystne interesa, pożyczył Magnusowi 80000 ryńskich, a wierny sługa został Magnusa komisarzem.

Z Frankfurtu przeniósł swoje operacje finansowe Magnus do Manheimu, i tam złapał u jakiegoś bogacza znaczne pieniądze na hypotekę wsi, która ani w jeografii ani na ziemi nigdy nie istniała.

Podobne wszystkie operacje robił zawsze hrabia Magnus przez plenipotentów, których zawsze znajdywał, lecz razu jednego podobało mu się samemu szczęścia próbować. Wpada razu jednego do bogatego kupca Leonhardi.

— Słuchaj! rzecze do niego, zgrałem się wczoraj, potrzebuję tysiąc dukatów, na które dam ci wexel.

Procent oczywiście przyrzekał znakomity, i zapłacony zaraz z góry. Leonhardi lubił podobne interesa, więc przystał.

Magnus poszedł do siebie aby napisać wexel. Tymczasem w pół godziny przychodzi służący z oznajmieniem że pan jego przeprasza kupca, bo ten co wygrał pieniądze chce mu czekać.

Zgryzł się kupiec, że mu się wymknęła taka tłusta grzanka, lecz wnet się pocieszył, bo wkrótce nadbiegł ten sam służący, i oświadczył mu że ponieważ tamten dłużnik sam się zgrał, więc pan potrzebując mu oddać koniecznie, prosi kupca o 1000 dukatów, i aby nie było zwłoki przysyła mu wexel. Kupiec Leonhardi odciągnąwszy procent, odesłał pieniądze, i zatarł ręce z radości. Lecz gdy czas wexlu upływał a kupiec zgłosił się po pieniądze, Magnus udał mocno zadziwionego.

— Ja nic nie wiem o tym wexlu! ja żadnych nie brałem pieniędzy.

— Ależ podpis wexlu!..

— To nie mój podpis...

— Wszakże służący pana przychodził.

— Jaki służący?..

— A ten! i ten!..

— Ten?.. dawno uciekł!

Służący rzeczywiście znikł, i kupiec Leonhardi bardzo jeszcze kontent był, że Magnus z wielkiej łaski dał mu prosty skrypt.

Dzban póty wodę nosi, póki mu się ucho nie urwie. Doznał tego kredyt Magnusa, któremu zupełnie się ucho

rwało. Ani w kraju ani zagranicą nie mógł już szeląga pożyczyć.

— Co tu robić? ja pieniędzy potrzebuję i mieć je muszę! radźcie teraz moi wierni, którzy u mnie pijecie i balujecie.

Po rozrzutniku szukającym pożyczki, najdowcipniejsi są pieczeniarze, gdy są w niebezpieczeństwie stracenia dobrej, codziennej a daremnej pieczeni. Znaleźli się tedy doradzcy, którzy na nowy padli koncept.

— Trzeba pożyczać na hypotekę gmin wolnych chłopskich, w hrabstwie zamieszkałych.

— Ba! ale na to trzeba ich podpisu.

— Jakoś to będzie! odpowiedzieli głodni pieczeniarze.

I jakoś to było.

Najprzód spisano hypotekę, najczęściej fałszywą tej gminy, którą chciano zabespieczyć pożyczkę trzydziestu do czterdziestu tysięcy talarów. Potem zaproszono do zamku tych co się mieli podpisywać. Tu występywało jak najtęższe wino i serdeczne, ojcowskie przyjęcie samego władcy. A gdy już głowy podchmielone były winem i łaską pańską, poufny faktor przemawiał:

— Pan potrzebuje trzech do czterech tysięcy talarów. Podpiszcież ten skrypcik. Jużciż nie odmówicie takiej grzeczności waszemu panu, który tak jest dla was łaskaw, i tak was serdecznie kocha! Ale napijmy no się!...

I tak jakoś z kielicha do kielicha przechodząc, podpisywali, nie wiedząc nawet co podpisują. Biada tym, którzy tęższe mając głowy, na napitek i jedwabne słówka nie podpisali. Prześladowano ich na wszystkie sposoby, aż im prawdziwie tęgie ich głowy bokami wylazły.

W taki sposób wpłynęło z jakie trzykroć do czterech kroć sto tysięcy do kasy Magnusa.

Wynikł wprawdzie z tego proces, na którym nie najlepiej wyszli ci co pożyczali na taką hypotekę. Ponieważ fałsz był widoczny i głośny, gminy rzeczywiście nie pożyczały, odsyłano panów dłużników z pretensjami do Magnusa. Ile to im pomogło łatwo zgadnąć.

I w taki sposób próbując oszukaństw najrozmaitszych udawało się Magnusowi, co trudno prawie uwierzyć, lat trzydzieści. Aż dopiero w roku 1775 cesarz dowiedziawszy się o wszystkich sprawkach, rozkazał sądowi państwa w Wetzlar wytoczyć proces Magnusowi. W ypadł dekret, w którym wyrażono było, „że wprawdzie Magnus za dowiedzione jasno jak słońce oszukaństwa, fałsze i zdzierstwa, zasługuje na największą karą, ale że przez wzgląd na jego zacną i starożytną rodzinę, kara ta łagodzi się na dziesięć lat więzienia w jednej z fortec państwa rzymskiego.”

Przez ten czas zjechała komissja do zamku, mająca zająć się likwidacją długów. Komissja komisjonowała, ale przez dwanaście lat żaden dłużnik grosza jednego nie wydział. Aż przecie zlitowała się nad niemi opatrzność, i zesłała jakiegoś zięcia Magnusa, który zdecydował się objąć rządy po teściu, i przyrzekł długi spłacić pomału.

NOWOŚCI LITERACKIE.

Spotkanie w Salzbrunn

opowiedziane przez J. Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy).

Oboje młodzi ludzie zostają w Częstochowie, autor zostaje sam z swemi myślami i domysłami, które go już kłopotać zaczynają, bo mu żal tej pięknej kobiety, ciągnionej w przepaść przez ładnego mężczyznę.

„To powiedziawszy, ukłonił mi się znowu, ja odkłoniłem się, i poszedł. Nie wysiadaliśmy z wagonu, i ja oparłszy się o brzeg otwartych drzwiczek patrzyłem na banhof i na snujących się przed nim ludzi. Wtedy obaczyłem w oknie sali, przeznaczonych dla osób jadących klassą 1szą i 2gą, twarz mojej nieznajomej. Widać oczekiwała tam nim jej wydobędą rzeczy, zdjęła już z głowy kapelusz, przyczesywała włosy i patrzyła niespokojnie, jakby szukając kogo wzrokiem.

Gdyśmy już ruszyć mieli, obejrzała się na pokój, tak żem tylko widział jej profil, na licu jej dostrzegłem rumieniec, usta uśmiechnęły się tym wdziękiem, z jakim kochająca kobieta wita miłego sobie gościa; zdawało mi się nawet, że rączka jej wyciągnęła się, jakby dla zejścia się z inną, gotową do przyjęcia jej ręką; ale w tym para gwizdnęła, niemogłem dojrzeć, kto był w sali, kto rumieniec ten na twarz jej wywołał i tak słodkim powitany był uśmiechem. W mgnieniu oka i banhof i pozostałe w nim osoby znikły mi z oczu; z przeciwnej strony tylko coraz wyżej i wyżej wznosiła się wieża Jasnej Góry, na którą patrząc westchnąłem szczerze i głęboko, a w tem westchnieniu między innemi prośbami, była także prośba za tą piękną istotą, która może jak niedoświadczona gołębica, widocznie i samochcąc poddawała się szponom biegłego w takim połowie jastrzębia.

Długo myślałem jeszcze o tej pięknej parze, którą widać przypadek jakiś zbliżył i tak harmonijnie nastroił. Dopełniłem w duchu historją i jej i jego; wymyślałem koniec taki lub inny tego związku, któremu raz krótsze, znowu dłuższe naznaczałem trwanie; słowem, bawiłem się temi rojeniami do samej granicy, nic do nikogo nie mówiąc i nie patrząc prawie na te smutne lasy i błota, przez które biegnie kolej, aż pókim się nie ujrzał na wydmie piaszczystej, gdzie się wznoszą budynki ostatniego naszego banhofa i mury komory. Zajęcia przy ulokowaniu się na noc w hotelu improwizowanym i nieopatrzonym we wszy-

stkie szczegóły gospodarskie, chodzenie ustawiczne za sługami, co nam mieli usłużyć, dopraszanie się to wody, to stołka, to ręcznika, to miednicy, słowem, najprozaiczniejsze w świecie kłopoty koło własnej osoby, wybiły mi z głowy poetyczny stosunek dwóch bliźnich istot, co mię tak żywo zainteresowały.

Położywszy się wcześnie, pomimo hałasów, głośnego gadania i stukania podkutemi bótami tak nazwanego kelnera, który biegał ustawicznie, i na jednym końcu korytarza odebrawszy jaki rozkaz, na drugim już zapominał kto go posłał i po co, zasnąłem mocno, z tą ciężką myślą, że trzeba wstać o trzeciej, a o czwartej już być w wagonie. Nazajutrz już po drugim dzwonku dobiegłem do banhofu i ledwie miałem czas odebrać paszport i usiąść gdyśmy ruszyli.

W Szczakowej byłem jeszcze zaspany, w Mysłowicach zbyt zajęty biletami i expedycją rzeczy; nie przyszło mi więc na myśl obejrzeć się czy ów Jegomość jest, czy go nie ma, czy jedzie sam, czy w towarzystwie tej interesującej pani, co go w Rokicinach wyglądała. W Kozel dopiero, gdzieśmy z pół godziny na pociąg wiedeński czekali, przeszedłem się pomiędzy wszystkiemi podróżnymi, przeexaminowałem wszystkie polskie fizjognomie, ale prócz dwóch żydów warszawskich, którzy tak jak i ja do Salzbrun jechali, nikogo znajomego nie dostrzegłem. Kochanków nie było. Nazywam ich kochankami, bo mi instynkt mój powieścio-pisarski mówił wyraźnie, że niemi są rzeczywiście, i takiem sobie to wbił w głowę, żem o egzystencyi serdecznego pomiędzy niemi stosunku niewątpił wcale. Wszakże innemi zajęty przedmiotami, straciwszy ich z oczu, straciłem i z myśli i niemal zapomniałem o nich zupełnie gdy trzeciego dnia w Wrocławiu znowu mi się przypomnieli."

Podróżny przyjeżdża do Wrocławia, i tam znowu zdybuje piękną kobietę która coraz wiecej go zajmuje.

„Zatrzymałem się pod Orłem, i o tej godzinie, kiedy pociąg z Mysłowiec przychodzi, stojąc przy oknie swego pokoju na drugiem piętrze, posłyszałem dzwónek portjera, zwiastujący nowoprzybyłych. Zbliżyłem się do okna i postrzegłem powóz otoczony sługami hotelu, którzy podawali rękę wysiadającej z niego damie. Z góry nie mogłem widzieć twarzy, ale ten sam kolor rękawiczki, taki sam kapelusz z powojem, równie zgrabna kibić i nóżka przypomniały mi Rokiciny.

Wydobyty z dorożki worek, zdawał mi się ten sam który tam upadł przy moich nogach. Szybko, jak łania, pani ta wbiegła do hotelu za starszym kelnerem, który jej ukazywał drogę, a ja stałem jeszcze dość długo w oknie, patrząc pilnie, czy z jej powozu nie wysiędzie ów mężczyzna, o którego bytności w Wrocławiu byłem odtąd przekonany. Ale ona była sama jedna, powóz odjechał, skoro rzeczy jej zdjęto, i ja zawiedziony w oczekiwaniu, zacząłem wątpić, czy to ta czy może jaka inna podobna do niej osoba. Zbiegłem więc na dół i spotkawszy starszego kelnera, który już nowo przybyłą na pierwszym piętrze ulokował, zapytałem go jaka to dama przybyla. *Ich weiss noch nicht*, odpowiedział, *es scheint eine polnische Gräfin*. Do obiadu pani ta nie przyszła; nie przyszło mi później dowiedzieć się o jej nazwisku, które zresztą niczego by mię nie nauczyło, ale wieczorem, w teatrze o piąte krzesło od siebie postrzegłem owego tak dobrze pamiętnego mi Jegomości, który pogładziwszy wąsy, przypatrzywszy się swoim rękawiczkom, spojrzał na mnie, ukłonił mi się z uśmiechem i gdy w tej chwili podniesiono kortynę, z wielką uwagą patrzał na scenę. Odtąd nie wątpiłem, że moje westchnienie przy Jasnej Górze było bez skutku, że moja nieznajoma mieszka w tym samym domu gdzie i ja, że jedzie tam, gdzie ją ciągnie nie potrzeba zdrowia, nie przepis doktorów, ale ten powab serca, który zaślepia, który usypuje odurzającemi kwiatami drogę, wiodącą do przepaści. Żal serdeczny ogarnął mię na tę myśl, że kobieta tak młoda, tak piękna, tak interesująca stanie się ofiarą może szulera bez sumienia. Pewny, że to jest mężatka, którą mąż zajęty gospodarstwem, owcami, lub jakim jarmarkiem, puścił samę jednę, wyobraziwszy sobie, że to matka dwojga ślicznych dziatek, że jednem z nich jest córeczka, której winna przykład, która dorosłszy dowie się o hańbie tej, co jej dała życie, a którą czcić i naśladować powinna, takim przejąłem się smutkiem, że choć komedja była dobra, i pierwszą rolę grał znakomity Wiedeńskiego teatru aktor, Beckman, nie tylko żem się nie śmiał, ale kiedy niekiedy zapomniawszy się głęboko westchnąłem. Dopiero gdy Niemcy wytrzeszczyli na mnie oczy, zaczęli się uśmiechać, ruszać ramionami, i jeden szepnął do drugiego: *der versteht gar kein Wort*, opamiętałem się, uśmiechnąłem się i sam na tę myśl, że biorę tak serjo i w takich konsekwencjach rzecz, którąm sobie uroił, zacząłem pilniej przypatrywać się Beckmanowi, który doskonałością swojej gry, prawdą każdego słowa i poruszenia, przeniósł mię w inny świat, i o rzeczywistym dał zupełnie zapomnieć.

C. d. n.

Rozmaitość.

Henryk Hejne poeta niemiecki, żyjący w Paryżu. Stan chorobliwy Hejnego jest prawdziwie dziwnem zjawiskiem fizjologiczno-psychologicznem. Jeden co go niedawno odwidzał mówi: Wyobraźmy sobie, człowieka w sile wieku jeszcze, z twarzą wyrazistą ale wychudzonego i osłabionego okropnie, rodzaj szkieletu! cień tylko człowieka. To jest Hejne! Cała niższa część ciała jest zupełnie sparaliżowana, równie jak i powieki martwo spadające. Jeżeli chce zobaczyć kogo lub przedmiot jaki, musi je do góry podnosić. Mimo to dyktuje pamiętniki swoje, i sam pisze jeszcze poezje, silnie zaszkicowane. Rzecz nieodgadniona prawdziwie, jakim sposobem

światło pada mu w oczy przez ściśle prawie zawarte powieki. Leży on kolejno to w łóżku, to na sofie. Służąca przenosi go z miejsca na miejsce jak małe dziecko jakie. I tak leży biedny poeta od 5ciu lat, srogie cierpiąc bóle. Zażywa Morphium, i to po 2 — 3 granów codziennie. I w takiem nikłem, zbolałem ciele mieszka przecie duch pełen życia i świeżości, promienieje łyszczący dowcip z humorem szydzący z świata i z siebie samego. Silne to ziarno w zepsutej łupinie, umierający pełen nieśmiertelności!.. A jeżeli ozwie się w goryczy, która palącemi i gryzącemi wylewa się słowami, czyliż nie da się to wytłumaczyć wpływem ciała na duszę. Dziwną jest rzeczą że ta nadzwyczajna w nim działalność mózgu nie ulegnie pod przemocą słabości i cierpień. Czasem tylko na otwartych rysach chorego rozciągnie się mgła lekka, i wśród żywej rozmowy, zda się że już urwie się jej barwna tkanka. Hejne przez chwilę zamilknie, pociągnie suchą ręką po wyniosłem czole, i dalej rozmawia żywo, lekko, jak by może najzdrowszy nie potrafił. Hejnego ciało utrzymuje już tylko Hejnego dusza. O nim zaprawdę można by powiedzieć że jest anatomicznym preparatem, zachowanym w ognistym spirytusie. I Hejne rozumie doskonale swoj stan. Zapytany, co mu jest właściwie, odpowiada najspokojniej: *Amollissiment de l'epine dorsale*, zmięknienie kości pacierzowej.

* Dzisiaj z rana odbył się wspaniały pogrzeb hrabiny Józefy z hr. Rzyszczewskich Chołoniewskiej, szanowanej powszechnie z cnót rodzinnych i obywatelskich matrony. Zmarła w 74tym roku życia.

Przyjechali od dnia 28. do 30. Listopada do Lwowa.

PP. Kopestyński Amos, z Zaleszczyk. Jendrzejowicz Alex., z Śniatyna. Hr. Karnicki Teod., z Warszawy. Mierzwiński Raf., z Baryłowa. Rudkowski Marcin, z Ostrowa. Hr. Stadnicki Leon, z Nadyb. Hr. Męciński Cezar, z Dukli. Hr. Badeni, z Suchorowa. Hr. Badeni Emilia, z Suchorowa.

PP. Kownacki Eust., z Żurawna. Sozański Sew., z Kornalowic. Biliński Felix, z Olszanki. Siemiginowski Włod., z Terskiego Stojanowski Feliks, z Mokrzan. Jakubowicz Józ., z Kurzan. Wisłocki Aloj., z Krystynopola. Rubczyński Wład., z Popowic. Nieżabitowski Napoleon, z Nakła. Hermann Łuc., z Rzepniowa. Kochanowski Kaj., z Tarnowa. Wiktor Tad., z Świrza. Czarnomski Stanisł., z Przemyśla.

PP. Czajkowski Hip., z Sarnek. Hr. Lanckoroński Stanisł., z Rawy. Noel Adam, z Soposzyna. Niewiadomski Tad., z Żółkwi. Januszewski Teofil, z Ubinia. Gnoiński Alex., z Krasnego.

Wyjechali od dnia 28. do 30. Listopada ze Lwowa.

PP. Nahujowski Antoni, do Czernicy. Lewicki Józef, do Bonowa. Lipiński Alex., do Sieniawy. Hoschard Fran., do Luszyc. Lewicki Jan, do Gródka .Dobrski Karol, do Radruża. Bandrowski Wojciech, do Tarnowa. Hr. Dzieduszycki Jul., do Żółkwi. Bogdanowicz Józ., do Żółkwi. Noel Adam, do Zółkwi.

PP. Hr. Karnicki Teod., do Michałowic. Winnicki Hip., do Hnilicy. Kakowski Erazm, do Tarnopola. Kopestyński Amos, do Zaleszczyk. Zawadzki Wład., do Jezierny. Załuski Franc., do Zameczka. Niezabitowski Napoleon, do Nakła. Walewski Alex., do Kłodna. Szymanowski Szym., do Spassowa. Krzyżanowski Jan, do Stanisławowa. Dr. Malinowski do Krakowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 30. **b. m. o g.** 2. **popołud.**

Augsburg za 100 złr. .	112	Pożyczka 5%	$73\frac{9}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$81\frac{3}{8}$	Akcye banku	929
Londyn za 1 funt szterl.,	10 52	Kolej północna	2030
Medyolan za 300 lirów	111	Obl. ind.	$73\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$139\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$96\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	$16\frac{7}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$76\frac{3}{4}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski**		Gotówka			towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	11	złr.	5 kr	15
Dukat cesarski	«	5	»	17	»	5 »	20
Półimperyał zł. rosyjski . . , ...	«	9	«	2	»	9 »	6
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	43	«	1 »	44
Talar pruski	»	1	«	40	»	1 «	42
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	12	»	1 »	13
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	88	«	24		88 »	57
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		68	»	40	»	69 «	3
5 proc. pożyczka narodowa		76	»	35	»	77 »	10

Lwów, 30. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 35 złr — kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do 27 złr. 30 kr. Jęczmienia po — złr. — kr do — złr. — kr. Owsa po 12 złr. 50 kr. do 13 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 18 złr. — kr. do 20 złr. — kr. — Ziemniaków po 11 złr. — kr do 13 złr. 15 kr. Sąg drzewa bukowego 41 złr. 15 kr. do 42 złr 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 32 złr. 30 kr. Cetnar siana 2 złr. 30 kr. do 3 złr. 22 kr. — Centnar słomy 1 złr. 52 kr. do 2 złr. 39 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. — kr. do 4 złr. 15 kr. w. w.

☞ Do dzisiejszego Numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY“ Nr. 143 z roku 1855.